

# Cmentarz na falach

13 listopada 2014

Europejskie morze śmierci wynika z eskalacji konfliktów zbrojnych i wzrastających globalnych nierówności. Masakrę u naszych granic może powstrzymać jedynie radykalna zmiana myślenia i zakwestionowanie paradygmatów dominującej polityki ekonomicznej.

Morze Śródziemne stało się wielkim cmentarzem Europy. W tym roku ponad 3 tys. ludzi straciło na nim życie, próbując uciec od biedy i wojny w Afryce oraz na Bliskim Wschodzie i dostać się do kontynentalnej twierdzy na Północy. To liczba cztery razy większa niż w roku ubiegłym i stanowiąca trzy czwarte rocznej śmiertelności migrantów. ONZ alarmuje o katastrofie humanitarnej. Marokański badacz Mehdi Lahlou w swojej książce o przemyśle ludzi pisze o śmiertelnym kręgu polityki antyimigracyjnej w krajach Zachodu, która zbiera krwawe żniwo. Masowa śmierć emigrantów na falach to bezpośredni i najbardziej widoczny efekt systemu, który z jednej strony wspiera swobodny przepływ taniej siły roboczej w obrębie własnych granic, a z drugiej szczelnie zamyka się przed ofiarami nędzy i przemocy pochodzącymi z innych państw. Syryjczycy, Palestyńczycy, Erytrejczycy, Libijczycy każdego dnia próbują dostać się do europejskiego raju na prymitywnych rybackich łodziach zupełnie nienadających się do morskiej żeglugi, napędzając jednocześnie popyt na usługi przemytników. Kwitnie korupcja wśród pracowników straży przybrzeżnej. Brutalność i przemoc są na porządku dziennym.

W Europie tymczasem panuje przekonanie, że przemyt ludzi to poważne zagrożenie dla bezpieczeństwa państw docelowych, które tracą kontrolę nad swoimi granicami. W końcu napływ nielegalnych imigrantów napędza ksenofobiczne nastroje, coraz częściej bezwzględnie wykorzystywane przez populistów. Żeby ukrócić ten proceder, europejskie rządy wydają w sumie kilkanaście miliardów euro rocznie. W kilku krajach problemem

ludzkiego przemytu zajmują się specjalne urzędy. Od dziewięciu lat działa unijna agencja Frontex, zajmująca się bezpieczeństwem granic. Do ich patrołowania Europejczycy i Amerykanie wykorzystują najnowsze technologie, z dronami i satelitarnymi zdjęciami łącznie. Walką z przemytem ludzi tylko w Unii Europejskiej zajmuje się ponad trzysta organizacji pozarządowych, często dotowanych z unijnych funduszy. Mimo to w Europie z roku na rok rośnie liczba nielegalnych imigrantów przerzucanych na kontynent przez przemytników. I liczba śmierci próbujących dostać się do naszych bram. Od początku nowego stulecia podczas próby nielegalnego dotarcia do Europy zginęło ponad 22 tys. uchodźców.

## **KRWAWA WIDOKÓWKA ZNAD MORZA**

Na co dzień europejska opinia publiczna żyje w głębokiej nieświadomości, zajęta własnymi sprawami. Na informacyjnym polu walki przemyt zdesperowanych ludzi przegrywa z lokalnymi politycznymi rozgrywkami, celebrytami, telewizyjną rozrywką i doniesieniami o niekończącym się kryzysie. Zdesperowany emigrant na rybackiej łodzi nie przykuwa takiej uwagi co rasistowskie pogadanki Jeremiego Clarcksona albo kolejna operacja plastyczna Jordan. Chyba że malowniczo unosi się martwy na morskich falach. Albo ginie spektakularnie. Tak jak w zeszłym miesiącu, kiedy to łódź przewożąca emigrantów z Egiptu na Maltę została staranowana i zatopiona przez przemytników, którzy chcieli wymusić na pasażerach przesiadkę do mniejszej i jeszcze bardziej niebezpiecznej łódki. Zginęło 500 osób. Uwaga mediów skupiła się na 14-latku, który chciał w Europie zarobić na leczenie swojego chorego ojca. Inni, którzy przeżyli letnie oblężenie Gazy i którzy chcieli odbudować swoje domy albo uciec przed coraz większym głodem na okupowanym przez Izrael obszarze, już tak malowniczy nie byli.

Nikt jednak nie był w stanie medialnie konkurować z kobietą, która tonąc, urodziła dziecko. Zginęli razem, chociaż niekoniecznie w tym samym momencie, uwięzieni pod pokładem

łodzi, która zatoneła w październiku zeszłego roku przy brzegach Lampedusy. Gdy nurkowie ich znaleźli, byli połączeni pępowiną.

Wstrząs opinii publicznej nie trwał jednak długo. „Śródziemnomorski holocaust” co roku zbiera śmiertelne żniwo i do krwawych widokówek znad morza już przywykliśmy. W zobojętnieniu pomaga też rosnący strach przed emigrantami. Nawet tymi pochodzącymi z naszego własnego kręgu kulturowego. Tymi, którzy mają ten sam kolor paszportu co my, mieszkają w tej samej dzielnicy, robią zakupy w tym samym sklepie i oglądają te same głupie programy z Jeremym Clarcksonem.

Tymczasem napór migracyjny zarówno z krajów Europy Wschodniej, jak i z jeszcze biedniejszego Południa ma to samo podłoże – ostry, globalny podział na biednych i bogatych. Brutalna ekonomiczna rzeczywistość wymusza desperackie próby wyrwania się z beznadziei. Bogata Północ w tej kwestii jest zupełnie bezradna. Paradoks polega bowiem na tym, że zwiększenie liczby patroli na morzu – to jak na razie jedyne rozwiązanie, jakie widzi Unia w kwestii walki z przemytem ludzi – zwiększa liczbę przemytniczych łodzi.

Hein de Haas z Uniwersytetu w Oksfordzie twierdzi, że imigranci chętniej będą wybierać tę ryzykowną drogę, gdzie jest dużo patroli, bo jeśli ich statek wpłynie na wody naszpikowane europejskimi służbami, w razie wypadku okręty mają obowiązek ich ratować. Szanse na przeżycie rosną więc teraz trzykrotnie.

## **GLOBALNY PROBLEM**

Z emigracyjną presją zmagają się wszystkie bogate kraje Zachodu. Stany Zjednoczone stawiają zasieki na granicy z Meksykiem, Australia na morzu oddzielającym ją z Indonezją. W ostatnich piętnastu latach przy próbie przekroczenia granicy z USA zginęło 6 tys. migrantów. Przy próbie dostania się do Australii – 1500.

Kiedy Amerykanie odgradzili się od Meksyku pięciometrowym murem, liczba śmiertelnych wypadków na granicy wzrosła ośmiokrotnie. I będzie rosła dalej razem z próbami przedarcia się do lepszego świata. Jedyne, co w tym wszystkim dziwi, to fakt, że liczby nielegalnych prób przekroczenia granic są wciąż na relatywnie niskim poziomie. Włoskie służby, będące na pierwszej linii walki z nieregularnymi emigrantami, zarejestrowały w tym roku 112 tys. prób wdarcia się do Europy. To niedużo, biorąc pod uwagę wywołane ostatnio przez Zachód konflikty zbrojne. Od Libii po Syrię. Od Iraku po Afganistan. Od Gazy po Afrykę.

Bogaty Zachód urządza w krajach biednego Południa wojny, niszczy porządki społeczne, dewastuje słabe gospodarki tych krajów i kreuje tym samym uchodźców – zdesperowanych ludzi gotowych na największe poświęcenie, aby wyrwać się z piekła. A jeśli spojrzymy dodatkowo na globalną skalę nierówności, będziemy zdumieni, że jak na razie mamy do czynienia jedynie z małym strumieniem migracyjnym, a nie z wielką powodzią biednych ludzi.

Pod koniec XIX wieku średni dochód w krajach najbogatszych był 5 razy większy niż w najbiedniejszych. Dziś jest 18 razy większy. To efekt globalizacji i wprowadzenia konsensusu waszyngtońskiego. Wolnorynkowe deregulacje, katechizm „wolnego handlu”, dyktatura Międzynarodowego Funduszu Walutowego, Banku Światowego i WTO doprowadziły do wyssania z krajów rozwijających się kapitału i zasobów naturalnych i wpędziły w nędzę rzeszę ludzi, którzy utracili ziemię na rzecz korporacji. Globalny rynek miał zapewnić dobrobyt wszystkim. W rzeczywistości pozwolił bogatym krajom Północy przerzucić na biedne Południe koszty środowiskowe i społeczne. Za tanie dobra na Zachodzie olbrzymią cenę płaci Afryka.

Ten model ekonomiczny, polegający na wyzysku, wymaga radykalnej zmiany. Nie tylko ze względów moralnych, lecz przede wszystkim ze względów racjonalnych. Prędzej czy później zaleje nas fala zdesperowanych ludzi z biednego Południa,

domagających się tego, co im odebraliśmy – zasobów, bezpieczeństwa i dobrobytu. Jeśli chcemy zatrzymać migracyjny napór, musimy podzielić się swoim bogactwem.

Autor: Radosław Zapałowski

Źródło: [eLondyn](#)